

Boże Narodzenie bez śniegu

Zanim dotarłem do nowego klasztoru, najpierw był wyjazd do Puerto Quijarro. Cochabamba ma bardzo umiarkowany klimat. Nic dziwnego, bo choć to strefa podzwrotnikowa, ale miasto leży na wysokości 2650 m n.p.m. Puerto Quijarro jest położone we wschodniej, tropikalnej części Boliwii nad samym Pantanalem¹, przy granicy z Brazylią. Kiedy wieczorem przyleciałem do Santa Cruz, było +28°C. Duszno, powietrze bardzo wilgotne, nie było czym oddychać, a pot lał się ze mnie strumieniami. W nocy nie zmrużyłem oka. Co godzinę wchodziłem pod zimny prysznic i bez wycierania kładłem się na łóżko. Materac szybko zrobił się wilgotny, a i tak cały czas był ciepły. O godzinie 5.30 pojechałem na lotnisko. Nawet tak wcześnie rano, nie było wcale lepiej. Przyjemniej zrobiło się w klimatyzowanym budynku lotniska. Zastanawiałem się, jak zniosę pobyt w jeszcze gorętszej części Boliwii. Przecież od tego zależało, czy kiedyś będę mógł pracować w tropiku. Samolot wystartował o godzinie 7.00. Po półtoragodzinnym locie znalazłem się w Puerto Suárez. Wsiadając z samolotu poczułem gorące powiewy wiatru, ale nie było tak upalne jak w Santa Cruz. Na lotnisku czekał już na mnie proboszcz z Puerto Quijarro, o. Cezary², franciszkanin z Prowincji katowickiej. Poznaliśmy się tuż przed moim wylotem do Boliwii. On był wtedy na urlopie w Polsce i przyjechał na moją Mszę św. pożegnalną w Jarocinie, gdzie głosił kazanie. Po przejechaniu jakiś 15 km byliśmy już w jego parafii. Gdy wysiadłem z samochodu, wreszcie odetchnąłem chłodniejszym powietrzem. Powiedziałem więc:

- W nocy w Santa Cruz było +28°C, taka duchota i gorąco, że nie było czym oddychać. Tu przynajmniej jest chłodno.

- Chłodno? - o. Cezary zapytał zdziwiony - Zobacz termometr.

Gdy spojrzałem na termometr, mało się nie przewróciłem, pokazywał w cieniu +37°C. Powietrze nad Pantanalem jest zupełnie inne niż w wielkim mieście, stąd to złudzenie, że tutaj nie ma takiego upału.

W Puerto Quijarro przeszedłem mój liturgiczny „chrzest bojowy”. Któregoś dnia poszliśmy z proboszczem do kościoła, by przygotować wszystko, co potrzebne do chrztu. Wówczas zaproponował, bym to ja chrzczył. Zgodziłem się. Kiedy mieliśmy wychodzić z kościoła, przyszła do proboszcz

¹ Pantanal jest rozlewiskiem rzeki Paragwaj na granicy między Boliwią i Brazylią.

² O. Cezary Domagała ofm wówczas był proboszczem w Puerto Quijarro, potem Hospicio w Cochabamba, a obecnie jest w San Javier w Wikariacie Nuflo de Chávez.

jakaś pani. Nie pamiętam już, o czym rozmawiali, ale na końcu ona poprosiła o spowiedź. Proboszcz zwrócił się do mnie:

- Może ją wyspowiadasz?

- Nie umiem formuły rozgrzeszenia po hiszpańsku - odpowiedziałem.

- To powiesz po polsku - skwitował.

- Ale nie jestem pewien, czy ona zrozumie mój hiszpański.

- Zrozumie. - odrzekł, a do niej powiedział - On dopiero kilka dni temu skończył naukę hiszpańskiego, więc rozgrzeszenie powie po polsku.

No i poszedłem do konfesjonału. Tak to, pierwszy raz spowiadałem po hiszpańsku. O tyle miałem łatwiej, że już prawie od trzech miesięcy, tak jak potrafiłem, sam spowiadałem się po hiszpańsku u jednego z naszych ojców, który był boliwijczykiem. Kobieta się wyspowiadała, potem się pomodliła. Proboszcz czekał za nią, by dokończyć załatwianą przez nią sprawę. Podeszła do nas i powiedziała:

- Ojciec już dobrze mówi po hiszpańsku.

Miło słuchać takich komplementów, ale dobrze zdawałem sobie sprawę, że mówiłem jak murzyn w „Pustyni i w puszczy”: Kali być głodny, Kali zabić lwa. Następnym moim „wyczynem” był chrzest. Czasami, jesteśmy znudzeni Mszą św. i mówimy, że stale to samo, że nic nowego... ale ma to swój wielki plus - na całym świecie liturgia jest zawsze taka sama, tylko w różnych językach. Podobnie jest z chrztem. Wszystko tak samo, tylko inny język. No i dla celebrysa takiego jak ja nie pozostaje nic innego, jak nauczyć się dobrze czytać. Chrzest też jakoś poszedł. Lecz najtrudniejszą rzeczą było odprawienie Mszy św. W jedną z niedziel wypadło tak, że proboszcz musiał odprawić cztery Msze św. i z tego dwie o tej samej godzinie w dwóch różnych miejscach. Jedną więc przypadła mi i to w dodatku z kazaniem. Pamiętam, jak mi się płała język przy czytaniu każdego z tekstów. Pamiętam, że zrobiłem masę błędów podczas mówienia kazania. Dobrze, że ludzie wiedzieli, kim jestem i, że dopiero co ukończyłem kurs; gdyby nie to, pewnie by myśleli, że jestem zdrowo „naprany”. Gdybym wtedy zamiast po hiszpańsku, odprawił po polsku, zrozumieliby tyle samo, to znaczy - nic. Ufam jednak, że Dobry Bóg uzupełnił to wszystko, czego z mojej strony brakowało.

Głównym celem mojego wyjazdu do Puerto Quijarro było przeżycie Bożego Narodzenia wśród współbraci. No i tak się stało. W Wigilię uiedliśmy do Wieczerzy. Był z nami również o. Eugeniusz³, który mieszka i pracuje w

³ O. Eugeniusz Kantor ofm - pochodzi z Prowincji Wniebowzięcia N.M.P. w Katowicach.

Arroyo Concepción (sąsiednia parafia). Na stole znalazł się opłatek, zupa owocowa, pieczona ryba i kapusta z grzybami. Potem wsólnie śpiewaliśmy polskie kolędy. Wszystko prawie tak po naszymu. Trochę tylko dziwnie, bo wieczereź jedliśmy na dworze mimo, że bardzo się ochłodziło i było „tylko” +28°C. O godzinie 22.00 rozpoczęła się Pasterka. Po niej, według boliwijskiej tradycji, rodziny gromadzą się na uroczystej kolacji. Z proboszczem dostaliśmy zaproszenie do kilku domów. Udało się dotrzeć tylko do trzech (niestety, mamy tylko po jednym żołądku).

Tamtego roku dzień 25 grudnia przypadł w piątek. Msze św. były według porządku niedzielnego. Ale 26 grudnia był już nolmarnym dniem roboczym, tyle tylko, że właśnie przypadła sobota - dzień wolny. Tego dnia rano obudziło mnie pukanie do drzwi i głos o. Cezarego:

- Jyndrek! Wstowej, kawa już żech zrobiół.

Wstałem. Kiedy już usiedliśmy do kawy, o. Cezary (rasowy Hanyś z Katowic Panewnik) powiedział:

- Dzwoniłech już do doma. Pado śnieg i temperatura poniżej zera.

- A wiesz, że w Polsce już jest druga po południu? - zapytałem.

- Ja, nasi idom na kolende. To im d... przymarznom - filozoficznie podsumował o. Cezary.

Święta minęły, a potem rozpoczął się rok 1999. Cochabamba z nową parafią już czekała, więc na 3 stycznia miałem zarezerwowany lot. Niestety, samolot nie przyleciał. Następnny lot był 6 stycznia i dopiero tego dnia mogłem polecieć. Dnia 7 stycznia było pakowanie się i sprząatanie pokoju, a w piątek, 8 stycznia przeprowadziłem się do „Hospicio”.

Tak to przeżyłem pierwsze Boże Narodzenia w Boliwii i ostatnie obchody tych świąt po polsku. Następane święta już były po „boliwijsku”.

Przy okazji tych świątecznych wspomnień nasuwa mi się pewna refleksja. Kiedyś w Boże Narodzenie, gdy jeszcze byłem w Polsce, usłyszałem takie bardzo pobożne wezwanie w „Modlitwie powszechnej”: „Módlmy się z polskich misjonarzy, którzy z dala od Ojczyzny i od najbliższych, w samotności muszą przeżywać te święta, by...” Trochę to smutne, bo brzmi jakby modlitwa za zesłańców na Sybir. Jest to faktem, że jesteśmy daleko od Polski, ale Bóg obdarował nas drugą ojczyzną. Jest też faktem, że jesteśmy daleko od naszych krewnych, od współbraci, z którymi przez kilka, czy kilkanaście lat byliśmy w klasztorach. Jednak otrzymaliśmy od Boga „nową rodzinę”, którą są ludzie powierzeni naszej pieczy duszpasterskiej, otrzymaliśmy innych współbraci z tutejszej Prowincji. Nie „musimy” być tutaj; przyjazd na misje był naszym wolnym wyborem, całkowicie

dobrowolną odpowiedzią na Boże wezwanie. I pewnie, że gdy nadchodzą Święta Bożego Narodzenia lub Wielkanocy, wspominamy lata w rodzinnym domu, tę szczególną, polską atmosferę świętowania, ale jest to trochę tak jak z dorosłymi dziećmi, które założyły swoje rodziny, wyszły od rodziców; choć wspominają święta z dzieciństwa, lecz w swoich nowych rodzinach tworzą własną tradycję. Mogę zapewnić, że Boże Narodzenie bez śniegu i przy +30°C też ma swój urok, bo jest pamiątką tego samego misterium: przyjścia na świat Bożego Syna.